

Lud fabryczny

Postępujące uprzemysłowienie miasta w XIX wieku przyniosło także wiele zmian społecznych i obyczajowych. Pisał o nich Jan Lorentowicz w artykule „Lud fabryczny w Pabjanicach”, który ukazał się w czasopiśmie „Wisła”, 1890 r., t. IV, str. 825-830. Jest to fragment większej, niepublikowanej, pracy o charakterze etnograficznym.

Lud fabryczny w Pabjanicach

Odzież. Ludność fabryczna w Pabjanicach stanowi grunt niezmiernie podatny do naśladowania wszystkich złych stron Niemca, szczególnie co się tyczy zbytku w ubraniu. Przed laty kilkunastu na starym mieście zaledwie kilka kobiet nosiło kapelusze, dziś ubierać się w nie poczynają nawet służące. Czepek zdobi głowy jedynie starszego pokolenia, też jedynie to starsze pokolenie pozostaje najzupełniej obojętne na wszelkie zmiany mody. Mieszczańskie matrony – zwykle żony rzemieślników lub robotników fabrycznych – noszą białe muszlinowe czepki, niezmiernie starannie ururkowane i uprasowane i aż do przesady starają się o ich czystość. Pani majstrowa nie zniesie najmniejszej plamki na czepeczku, choćby pracowała nad nim przez kilka godzin.

Staniki i suknie starsze kobiety noszą zwykle kolorowe, ciemne, nigdy zaś, a przynajmniej bardzo rzadko, czarne. Suknia musi być zawsze zupełnie gładka, bez żadnej falbanki. „Falbanki” owe przez jakiś czas były przysłowiowe. Dawniej, w epoce krynolin i następnie nie znano ich tu wcale; kiedy zaś młode dziewczęta poczęły się w nie stroić za przykładem Niemek i Żydówek, rozpoczęła się walka pomiędzy rodzicami i córkami. Znałe mi są np. podobne fakty: Córka pewnego dość zamożnego rzemieślnika przygotowała sobie na jakieś uroczyste święto, do noszenia chorągwi w kościele kosztowną suknię, ozdobioną wbrew woli ojca w kilka rzędów falban. Skoro rodzic dowiedział się o tej samowoli, przemocą wydobyl suknię z szafy i porąbał ją na kawałki siekierą.

Dziś podobne walki, choć już słabsze, toczą się o turniurę, na którą starsze pokolenie patrzy się ze zgrozą. Mężczyźni dawniej mieli swój własny, jeżeli nie charakterystyczny, to przynajmniej oryginalny strój. Ubierali się w zwyczajne czapki, kaszkietami zwane, chodzili w koszulach płóciennych domowej przędzy i roboty, nosili długie mieszczańskie kapoty i również długie tużurki. Był to strój, po którym łatwo odróżnić mogłeś mieszczanina małego miasta. Dziś, choć znacznie się obniżyły skutkiem konkurencji dochody rzemieślnika i w ogóle mieszczanina, ubranie jego jest stanowczo kosztowniejsze nad stan. Prosty czeladnik szewski lub ślusarski chodzący boso wśród dnia codziennego, ubierze się w niedzielę w cylinder, w którym tak się lubują niemieccy mieszkańcy Nowego miasta, kolorowe rękawiczki, najmodniejszy krawat, nowy kołnierzyk, a na marynarkę, kamizelkę i spodnie wybiera najkosztowniejsze materiały. Ubranie owo, a przez nie chęć zabłyszczenia i pokazania się innym, stanowi jeden z bezpośrednich celów jego życia: nie dośpi, nie doje, spracowany przez dzień cały, w nocy jeszcze ślęczeć będzie nad „fuszerką” (tak się nazywa u rzemieślników praca po obowiązkowych godzinach), aby móc ubrać się w niedzielę w jakąś nową szatę i nie dać się wyprzedzić tylu współtowarzyszom i znajomym.

Żaden najbardziej elegancki modniś stołeczny nie będzie tak wybredny w ubraniu, jak fabryczny robotnik lub rzemieślnik w Pabjanicach. Jedna drobniutka a niewłaściwa fałdka na palcie doprowadza go do rozpacz. Robotnicy fabryczni nie ustępują w niczem rzemieślnikom swobodnym, tak że trudno orzec, kto z nich kogo wyprzedza co do ubrania.

Rzecz naturalna, mowa tu jedynie o młodzieży. Starzy sami są bardzo skromni, choć nie bez dumy patrzą na swych synów, elegancko ubranych.

Jedyny wybryk, raczej wygoda, nieznana tu dawniej pomiędzy rzemieślnikami, a której chętnie starsze pokolenie używa, jest futro zimowe, po większej części szopy. Dawniej noszono również

kożuchy, ale podobne do włosciańskich, bez żadnego nakrycia wierzchniego.

Mieszkanie i pożywienie. Mieszkania rzemieślników zwykle są zamożniejsze niż robotników fabrycznych. U pierwszych znaleźć nawet można komfort, nieustępujący komfortowi inteligencji. Ale i to ostatnie policzyć należy za wadę ze względu na stan majątkowy właścicieli. Główną pobudką do wykwinnego urządzenia mieszkania jest naśladownictwo. Zapatrzony na urządzenie kantoru fabrykanta lub dyrektora fabryki, z którym ma bezpośrednie stosunki, mieszczanin stara się urządzić w mniej więcej podobny sposób własne mieszkanie. Kupi więc sobie budzik, którego nigdy do tej pory nie potrzebował, zawiesi nad łóżkiem dywanik, sprowadzi kilka oleodruków, płaci po 20 rubli za łóżko, maluje kosztownie pokoje itd.

To, co u Niemca, przywykłego do wygody, staje się potrzebą zupełnie naturalną, bo zgodną z jego kieszenią, dla rzemieślniczego mieszczanina staje się tylko sztucznie narzuconym na budżet domowy ciężarem. Kuchnia nie zawsze bywa oddzieloną od reszty mieszkania, szczególnie bywa to w mieszkaniach dawniejszych. Pokoik jadalny, dość często nazywany „alkierzykiem” (jeżeli jest jeszcze więcej mieszkania), nie odznacza się nigdy czystością, choć nieraz po kilka razy wśród dnia bywa sprzątany i zamiatany.

W kuchni lub „alkierzu” stoi zwykle szafa kuchenna, rodzaj oszklonego kredensu, w którym spoza szyb widać co najładniejsze szklanki, kieliszki, spodeczki i talerzyki.

Alkierz jest zwykle pokojem sypialnym całej rodziny. U rzemieślników wypadki wspólnego łóżka dla małżeństwa bywają rzadsze, częściej napotkać je można pośród robotników fabrycznych. Młodsze rodzeństwo także sypia parami, a nawet po troje w jednym łóżku.

Pożywienie tak mieszczanina jak i robotnika fabrycznego bywa bardzo skąpe, jeżeli nie ilościowo, to stanowczo jakościowo. Rzemieślnik, niezależnie od swego rzemiosła, miewa zwykle swój własny grunt i bydło. Sadzi najwięcej kartofli i żyta, co w połączeniu z mlekiem stanowi jego pokarm podstawowy. Rano mieszczanin pija, za przykładem Niemców, dość słabo słodzoną kawę. Toż samo dzieje się pośród robotników fabrycznych, którym zwykle noszą śniadanie do fabryki. Świat fabryk o godzinie dwunastej ogłasza zwykle całemu miastu porę obiadu. Stare miasto jada mięso dwa razy czasem raz w tygodniu i to w formie sztuki mięsa, mocno zwykle wygotowanej na rosół. Zwykłym pokarmem są: kapusta, kasza z okrasą (jaglana, tatarczana i jęczmienna), kartofle, kluski, mleko. W piątki, soboty oraz wszelkie wigilie poszczą wszyscy bardzo skrupulatnie. Bywają też niezmiernie rzadkie wypadki, aby kto jadał mięso wśród wielkiego postu.

Zamożniejsze gospodynie wypiekają chleb u siebie w domu (raz na tydzień); biedniejsze kupują go w piekarniach. Chleba mieszczanin każdy zjada przeciętnie około funta dziennie.

Niektóre zwyczaje doroczne. Ze zmianą całego trybu życia pod wpływem kultury niemiecko-fabrycznej zmieniać się też szybko muszą i obyczaje ludności oraz doroczne zwyczaje polskie, dość ściśle obserwowane w małych miastach. Najtrwalej utrzymują się zwyczaje kościelne, bo nawet mniej pobożni mieszkańcy starannie je podtrzymują, pragnąc uroczystości kościelne zrobić niemal przymusowymi dla wszystkich.

Życzenia noworoczne składano sobie dawniej ustnie, przy spotkaniu się, bez robienia specjalnych wizyt. Dziś młodsze pokolenie wprowadza w użycie bilety „z powinszowaniem Nowego Roku”. Zgryają muzykantów wszelkiego gatunku włóczy się od domu do domu, szczególnie w niemieckiej dzielnicy miasta. Lokatorzy posyłają swym gospodarzom prezenta (wino, arak itp.), toż samo kupcy swym konsumentom. Chłopcy z szopkami rzadko się w Pabjanicach pokazują; natomiast częściej przychodzą starsi „kołędowicze” z „gwiazdami”.

Karnawał nie o wiele różni się od reszty roku. Mieszczanin rzadko urządza u siebie wieczory z muzyką i tańcami, chyba że pretekst do tego daje mu jakaś uroczystość domowa (chrzest, wesele itd.). Robotnicy fabryczni tańczą w szynkach i restauracjach.

Śród półpościa zgraja chłopaków rozbija po mieście garnki, napełnione popiołem, a w ostatnich czasach ekskrementami. Ostatnie dni wielkiego postu stanowią w mieście święto. Od wielkiego czwartku ludność fabryczna przestaje chodzić do fabryk, a rzemieślnicy mało już i leniwie pracują.

Przed kilku laty wprowadzono do Pabjanic zwyczaj (zapożyczony z Łasku i Widawy) urządzania straży dekoracyjnej żywej przy grobie Chrystusa w kościele. W tym celu kilkudziesięciu (około 40) przeważnie robotników fabrycznych przebiera się w specjalny kostium, wyobrażający jakoby straż rzymską. Kostium ten stanowiły w pierwszych latach: czapka żołnierza tureckiego, niebieskie kurtki, czerwone spodnie i szpady, dziś zaś czapki zastąpiono kaskami, a kurtki papierowymi i blaszanymi pancerzami. Straż powyższa ma swego dowódcę i jego pomocnika, a w mieście nazywa się „Turkami”. Począwszy od wielkiego piątku, po dwóch żołnierzy stoi nieustannie przy grobie ze skrzyżowanymi szpadami. Warcie tej nie wolno nawet drgnąć przez całą godzinę, poczem stróżują nowi dwaj żołnierze. Taż sama manipulacja odbywa się przez wielką sobotę i przez całą noc z soboty na niedzielę. O godzinie szóstej rano bywa zwykle rezurekcja. Na procesji „Turki” zgromadzają się w całym komplecie i idą podwójnym szeregiem przed celebrującym księdzem. Właściwie mówiąc, po procesji powinna się już zakończyć ich służba. Ale robotnikowi fabrycznemu, który wydał kilkanaście rubli na kostium, nie bardzo chce się porzucać swą bądź co bądź wyróżniającą go z tłumu rolę. Więc też „Turki” przychodzą jeszcze na nabożeństwo wśród dnia i ustawiają się przy wielkim ołtarzu.

Wśród procesji a także przez całą poprzednią noc i dzień odbywa się na rynku strzelanie z moździerza. Na proch składają się mieszkańcy miasta. Do parafii pabianickiej należy kilkanaście wsi okolicznych, cały więc rynek zajęty jest w dzień Wielkiejnocy wozami parafian wiejskich. Wszyscy oni, skoro wyjdą po skończonej rezurekcji z kościoła, starają się jak najszybciej wyjechać z miasta, trzymając się przesądu, że ten, kto pierwszy do wsi przyjedzie, dożyje do następnej Wielkiejnocy. Przez godzinę tedy trwa szalona ścigających się galopada.

Zwyczaj zlewania się wodą (dyngus) w drugi dzień świąt wielkanocnych z każdym rokiem słabnie. Dawniej był to dzień potopu we wszystkich mieszkaniach, dziś z każdym rokiem, pod wpływem Niemców, niknie ochota do wspólnego oblewania się.

Jednym z najuroczystszych świąt w Pabianicach jest dzień Bożego Ciała. W samo święto urządzone bywają ołtarze na starym mieście, a w niedzielę najbliższą na Nowem. Procesja chodzi tylko raz na dzień przed południem. „Turki” wielkanocne znowu towarzyszą celebrującemu i stanowią straż honorową. Moździerze grzmą przez cały dzień. Od jednego ołtarza do drugiego prowadzą łuki tryumfalne i sztuczne aleje świerkowe i brzoźowe.

O wiele uroczystsza jest jeszcze procesja na Nowem mieście. W Pabjanicach jest spora liczba tak zwanych „deutsch – katolików”, ci więc wysadzają się na uświetnienie uroczystości. Niezależnie od bogato urządzonych ołtarzy, tych samych Turków, muzyki strażackiej, procesji towarzyszy jeszcze cały oddział niemieckich sportsmanów, strzelców, tak zwanych „dunerów”. Jest to korporacja strzelnicza, istniejąca od kilkunastu lat nie tylko w Pabjanicach, ale i we wszystkich okolicznych miastach fabrycznych (Zduńska Wola, Łódź, Zgierz, Ozorków). Ubrani są w ciemnozielone mundury i także czapki. Dunery podług niemieckiej komendy swego dowódcy przed każdym ołtarzem strzelają w powietrze z ślepych nabojów.

Korporacja ta posiada własny tak zwany schütz-platz, na którym urządza przy olbrzymim napływie ludności miejskiej ucztę w drugie święto wielkanocne. Strzelają tu do celu, tańczą i piją.

Pod przewodnictwem księdza wychodzi corocznie ze Starego miasta kompania do Częstochowy. Kompania taka bywa bardzo liczna, dochodzi bowiem nieraz do 1000 osób. Podróż jaką pielgrzymi odbywają (przez Drużbice, Grocholice, Noworadomsk, Gidle i Przyrów) wynosi około 25 mil.

O publikacji Jana Lorentowicza „Lud fabryczny w Pabjanicach” wspomina także Maksymilian Baruch w pracy „Pabianice, Rzgów i wsie okoliczne”, Warszawa 1903 :

Wyjątek z wymienionej wyżej większej całości. Rzecz składa się z rozdziałów: Odzież, Mieszkanie i

pożywienie, Niektóre zwyczaje doroczne. Autor sam rodem z Pabianic, zna dobrze miejscowy lud rzemieślniczy i fabryczny i zajmując opisuje jego stronę etnograficzną, aczkolwiek pomija część niemiecką ludności fabrycznej. Ze szczególnych zwyczajów tutejszych nie wspomniał o dziesięciokrotnym dzwonieniu w kościele parafialnym tudzież o sobótkach („O sobótkach w Pabianicach”, patrz Tydzień 1882 nr 18).

O wyborze Lorentowicza do Polskiej Akademii Literatury informowało łódzkie Echo (8.11.1937): Pabianiczanie członkiem PAL – po wyborze Jana Lorentowicza.

Na onegdajszym posiedzeniu PAL dokonano wyboru nowego akademika. Nowo obrany akademik – Jan Lorentowicz jest czołowym krytykiem literackim i teatralnym starszego pokolenia. Urodził się przed 69 laty w Pabianicach. Po ukończeniu szkoły średniej w kraju, wyjechał na studia wyższe do Paryża, gdzie przebywał do r. 1903. W Paryżu brał żywy udział w ruchu niepodległościowym. Był członkiem gminy narodowo-socjalistycznej z ramienia której redagował czasopismo „Pobudka” (1891-1893). W wielu czasopismach francuskich przez szereg lat zamieszczał artykuły o literaturze polskiej i o polskim teatrze. Jednocześnie pisywał do czasopism polskich w kraju.

Po powrocie do kraju objął stanowisko sekretarza redakcji „Kuriera Codziennego”, następnie był redaktorem literackim „Nowej Gazety” (1906-1918), w latach 1912-1916 redagował bibliotekę literacko-artystyczną „Muzy”, pisując równocześnie do „Biblioteki Warszawskiej”, „Ateneum”, „Tygodnika Ilustrowanego”, „Świata”, „Myśli Polskiej”, „Krokwi”, „Nowej Książki”, „Przeglądu Tygodniowego” itd.

W latach 1916-1922 był dyrektorem Warszawskiej Szkoły Dramatycznej, od 1918-1922 – generalnym dyrektorem teatrów miejskich w Warszawie, a w latach 1926-1928 dyrektorem Teatru Narodowego.

Jan Lorentowicz jest kawalerem oficerskiego Krzyża Odrodzenia Polski i kawalerem francuskiej Legii Honorowej.

Ilustrowana Republika (8.11.1937) donosiła: Jan Lorentowicz – akademikiem na miejsce Karola Huberta Rostworowskiego.

Warszawa, 7 listopada (PAT). W dniach 6 i 7 listopada 1937 roku odbyły się zebrania Polskiej Akademii Literatury. W obradach wzięli udział: prezes Wacław Sieroszewski, wiceprezes Leopold Staff, sekretarz generalny Juliusz Kaden-Bandrowski oraz akademicy literatury: Wacław Berent, Ferdynand Goetel, Karol Irzykowski, Kornel Makuszyński, Zofia Nałkowska, Zenon Miriam-Przesmycki, Jerzy Szaniawski, Tadeusz Zieliński i Tadeusz Boy-Żeleński.

W pierwszym dniu obrad prezes Polskiej Akademii Literatury Wacław Sieroszewski wygłosił przemówienie z powodu zgonu akademika literatury ś. p. Bolesława Leśmiana. Pamięć zmarłego uczciła Polska Akademia Literatury chwilą milczenia. Następnie załatwiono szereg spraw bieżących, wynikających z porządku dziennego.

W drugim dniu obrad wybrano zgodnie z par. 23 regulaminu PAL, większością 2/3 głosów nowym akademikiem literatury Jana Lorentowicza na miejsce opróżnione przez Karola Huberta Rostworowskiego. Jak doszło do rezygnacji Rostworowskiego, znanego poety i dramaturga? Prezes PAL, Sieroszewski zaatakował w prasie arcybiskupa A. Sapiechę, który sprzeciwiał się przeniesieniu zwłok Józefa Piłsudskiego do osobnej krypty na Wawelu. Rostworowski złożył wniosek o wotum nieufności dla prezesa 6 sierpnia 1937 roku. Po zignorowaniu tego wniosku przez PAL Rostworowski ogłosił 21 września 1937 r. swoje ustąpienie z szacownej akademii. Rezygnacja ta była odczytywana jako protest przeciwko sanacji. Wówczas akademicy zaproponowali kandydaturę Lorentowicza.

Procedura wyboru nowego akademika była następująca: Akademicy w porządku alfabetycznym zgłaszają swoich kandydatów, podając ich imię i nazwisko, oraz krótką charakterystykę działalności pisarskiej. Ponadto składają swój wniosek na piśmie. Wolno przedstawić co najwyżej trzech kandydatów. Niedopuszczalne jest uchylanie się od wniosku. Nad przedstawionymi kandydaturami

nie ma dyskusji.

PAL przyznawała Złote i Srebrne Wawrzyny Akademickie oraz Nagrodę Młodych. W 1938 r. Jan Lorentowicz uczestniczył w procesie wyłaniania kandydata do tej ostatniej nagrody. Ilustrowana Republika pisała: W dniu 30 stycznia 1938 roku odbyło się zebranie Polskiej Akademii Literatury, poświęcone wyborom laureata do nagrody PAL dla młodych. W obradach wzięli udział: prezes Wacław Sieroszewski, wiceprezes Leopold Staff, sekretarz generalny Juliusz Kaden-Bandrowski, oraz akademicy literatury: Wacław Berent, Ferdynand Goetel, Karol Irzykowski, Juliusz Kleiner, Jan Lorentowicz, Kornel Makuszyński, Zofia Nałkowska, Zenon Miriam Przesmycki, Tadeusz Zieliński i Tadeusz Boy-Żeleński.

Po kilku kolejnych głosowaniach nagrodę w wysokości 2. 000 zł przyznano większością głosów Stanisławowi Piętakowi za powieść pt. „Młodość Jasia Kunefala”.

Poza laureatem zgłoszono kandydatury: Jerzego Andrzejewskiego, Tadeusza Brezy, Hanny Malewskiej, Bolesława Micińskiego, Czesława Miłosza, Mariana Niżyńskiego, Teodora Parnickiego, Ksawerego Pruszyńskiego, Adolfa Rudnickiego, Henryka Worcella, Jerzego Zagórskiego.

Jana Lorentowicza upamiętnia w Pabianicach okazała tablica w Miejskiej Bibliotece Publicznej przy ulicy św. Jana 10. Tablica ma formę metalowej płaskorzeźby przedstawiającej słynnego niegdyś, a obecnie kompletnie zapomnianego pabianiczanina. Zawiera lakoniczny opis: Jan Lorentowicz 1868-1940, literat, krytyk teatralny. Znajduje się w klatce schodowej, na wysokości pierwszego piętra obok wejścia do biblioteki dla dorosłych. O jej istnieniu wiedzą przede wszystkim czytelnicy. Lorentowicz jest patronem Miejskiej Biblioteki Publicznej w Pabianicach.

Polska Akademia Literatury istniała w latach 1933-1939, została powołana do rozwijania polskiego piśmiennictwa artystycznego i reprezentowania interesów środowiska literackiego. Członkami PAL, oprócz J. Lorentowicza, byli: W. Sieroszewski, L. Staff, J. Kaden-Bandrowski, W. Berent, P. Choynowski, K. Irzykowski, J. Kleiner, B. Leśmian, Z. Nałkowska, Z. Przesmycki, K. H. Rostworowski, W. Rzymowski, J. Szaniawski, T. Zieliński, T. Boy-Żeleński, F. Goetel, K. Wierzyński, K. Makuszyński. Akademia była bojkotowana przez część literackich środowisk narodowych i komunizujących.

https://en.wikipedia.org/wiki/Jan_Lorentowicz

<http://www.marialorentowiczagalak.pl/lorentowicz/>

Społeczność lokalna przez wiele lat szczyliła się Janem Lorentowiczem. Stanowił przykład olśniewającej kariery i niebywałego sukcesu w dziedzinie kultury. Był ówczesnym celebrytą. Teraz gdy gwiazda Lorentowicza mocno przybladła warto przypomnieć jego sylwetkę i dokonania opisane przez Adama Grzymałę-Siedleckiego w książce „Nie pożegnani” (1972)

W początkach roku 1940 literatura polska straciła Jana Lorentowicza. Urodzony w 1868 roku w Pabianicach. Od wczesnych lat, po krótkim w Warszawie pobycie, przebywał w Paryżu aż do roku 1902 i prawie na zawsze pozostał paryżaninem in partibus infidelium.

Należy się tylko porozumieć, co chciałem powiedzieć przez słowo „paryżanin”. W przelotnych wyobrażeniach paryskość przedstawia nam się jako szyk, modność w stroju i w sposobie bycia etc. Nie to ze stolicy Francji wyniósł Lorentowicz. Wgryzł się on w duszę kultury francuskiej, wydobył zysk ze świetności francuskich zabytków i bujności życia artystycznego, a wrodzone jego zamiłowanie do pracy we francuskiej robotności znalazło wzór kształtujący. Kochał też zarówno Paryż, jak i Francję.

Przez kilkanaście lat przebywał w ville lumiere, więc nie mógł nie wsiąknąć w postyczniową emigrację polską i nie mógł wyobcować się z jej atmosfery, a i z komeraży „tułacznych”.

Bardzo przykrym wynikiem tych emigracyjnych swarów był pewien incydent w życiu młodzieńczego wówczas Lorentowicza; zakochany w Zapolskiej, szturmującej wówczas do wrót teatrów krakowskich, dowiedział się, że pan Kraków, jednostka ceniona w kołach polskich, zanadto ujemnie ocenił jakieś postęпки pani Gabrieli. Podjudzony może przez rozżaloną a wielce porywczą niewiastę, Lorentowicz odszukał pana Krakowa i nie bacząc na jego poważny wiek, znieważył go czynnie. Po latach, gdy młokosowskie zadurzenie z niego wyparowało, nierozważnego swego czynu gorzko żałował. Więcej: z niedomówień Lorentowicza można się było domyślić, że żal za popełniony zły czyn wywołał u winowajcy jakby wewnętrzną przysięgę panowania nad swoją gwałtownością, nad odruchami krwistych popędów. Takiego też doskonale opanowanego znali wszyscy ci, co go poznawali w jego latach dojrzałych.

Nieskłonny do jakiegokolwiek formalnej przynależności partyjnej, obijał się koło organizacji socjalistycznych i nawet należał do redakcji paryskiego „Świtu”. Nie zanadto eksponowany, nie wpadł też w kartotekę rosyjskiego wywiadu i w przeciwieństwie do wielu socjalistów- zawsze z Paryża mógł wrócić do kraju, „co właśnie było jego dramatem”, jak sobie z niego dworował Reymont.

Niezdawkowo rozeznany w literaturze francuskiej, cenne pisywał o niej artykuły do postępowych pism warszawskich, a przez stosunki z wicekoryfeuszami prasy paryskiej informował Francuzów o kulturze polskiej i naszych sprawach narodowych.

W początkach XX wieku, założywszy rodzinę, postanowił przenieść się do Warszawy. Bez trudu dostał dość dobre stanowisko kierownika działu literacko-artystycznego i naczelnego recenzenta zrazu w „Kurierze Codziennym” Libickiego, później w „Gazecie Handlowej” Stanisława Kempnera, drukując ponadto swe prace w „Tygodniku Ilustrowanym”. Bardzo rychło zdobył uznanie swojej publiczności i stał się walorem na giełdzie piśmienniczej. Do kariery dopomagało mu „postępowe” środowisko, które sobie za bazę operacyjną wybrał, ale powodzenie swe zawdzięczał głównie swej pracowitości, swojemu rzetelnemu ustosunkowaniu się do zadań literata, a przede wszystkim może horyzontom kulturalnym, które z Zachodu do Warszawy przywiózł.

Pannę Izabelę Łęcką w „Lalce” w latach 1885-1888 poznajemy, jak czyta „Une page d’amour”. Niewiele się w lekturze Warszawy zmieniło do pierwszych lat XX stulecia, jeśli idzie o pisarzy obcych. Zola przestał już skandalizować, a jeszcze pasjonował. Loti, Bourget, Fogazzaro, Daudet i „umiarkowani naturaliści” największą znajdowali poczytność, a jeżeli idzie o ideologię artystyczną, to hołdowano typowi jakiegoś ugłaskanego pozytywizmu z wyraźnym od literatury żądaniem pożytku wychowawczego. Lorentowicz z Paryża przywozi sztukę dla sztuki i o jej prawa usilnie agituje na gruncie warszawskim. Rzecz jasna, że jest w tych zadaniach wychowankiem i sekundantem Miriama. Miriam zawsze dlań będzie autorytetem, i to do tego stopnia, że dowcipnisie literaccy nazywać go zwykli Submiriamem. Naprawdę jednak – to nie wiadomo, kto komu miał więcej do zawdzięczenia: on Miriamowi czy vice versa; oczywiście, że z głowy Miriama wychodziły te w sprawach sztuki encykliki, które ogłaszał w „Chimerze”, ale że pisał je zawile dla zwykłego czytelnika, więc dopiero, gdy Lorentowicz w „Nowej Gazecie” przełożył je na język zrozumiały, stawały się one strawą duchową dla rzeszy wiernych.

To było jego znaczenie w dziejach „sztuki dla sztuki” w Polsce.

Trzeba stwierdzić, że po kilku już latach swego działania Lorentowicz stał się w Warszawie autorytetem literackim, zwłaszcza w kołach postępowych. Znaczył wiele u czytelników, jeszcze więcej może – u literatów, w instytucjach koleżeńskich. Nie było zrzeszenia pisarskiego, w którym by nie zaznaczał swego wpływu, nie było zgromadzenia korporacyjnego, któremu by nie przewodniczył. Prezesury i marszałkowskie laski niejako dopraszały się o jego osobę, w której dorodność lohengrinowskiego typu łączyła się z pontyfikalną powagą, z rozstrzygającym, ostatnio-instancyjnym sposobem mówienia i jowiszowym sposobem bycia; całości wrażenia brakowało tylko pastorału i episkopalnej infuły na głowie. Na głowie, wewnątrz wypełnionej wolnomyślicielstwem i

laicystycznymi doktrynami.

Czy naprawdę tak bardzo laicystycznymi? Czy wolnomyślicielstwem na serio? W sprawie tej, jak i we wszystkim, co dotyczyło przekonań Lorentowicza, należy odróżnić fasadę od wnętrza. Ilekroć trzeba było wypowiedzieć się politycznie, socjalnie czy wyznaniowo – zawsze prononsował się jako czerwony postępowiec i zdecydowany demokrat – i nie było w tym ani fałszu, ani blagi – takim się czuł. Niespodzianki powstawały dopiero, gdy ze sfery teorii schodził na grunt życia. Tu wszystko ujawniało nam doskonałego bourgeois, tradycjonalistę, hierarchistę, wroga wszelkiego (nie wyłączając rewolucji) nieporządku – ujawniało też pewną odrazę do „motłochu”, do nieokrzesanych warstw, a z drugiej strony – kult instytucjonalizmu z Kościołem inclusive. Tylko, że o tym wszystkim nie wiedział .. Ale ta nieświadomość przydawała wdzięku jego dwoistości. Podobnie rzecz się miała i z innymi cechami jego usposobienia. Wspomnijmy choć o jednym: pozory wyniosłości i surowości spojrzenia budziły przypuszczenie, że mamy do czynienia z człowiekiem raczej zimnym, gdy tymczasem nie było dla przyjaciół jednostki bardziej od niego serdecznej i ofiarnej.

Powodzenie, a zwłaszcza zaszczyty nie rozwijająco wpływały na jego twórczość. Literackie prezury i wielmożności dobre są dla tych, którzy już przeszli w stan spoczynku (albo którzy powinni przestać działać). Natomiast dopóki się produkuje, dopóki się coś ze siebie wysnuwa – wrogiem wszystko, co rozrzedza atmosferę pracy. Nie można się skupić, nie można się doskonalić, gdy połowę swej energii poświęca się komisjom, sesjom, konwentyklom, gdy się czas traci na kaptowanie sobie zwolenników, na grzęźnięcie w błotny grunt intryg, komerażów lub współzawodnictw o nic. Lorentowicz, namiętą mający słabość do dostojęństw, więcej niż inni zanurzył się w tę topiel – i choć heroicznie zachowywał poziom swego pisania, to jednak nie mógł nie rozpołować się i tylko część samego siebie oddawał zapalowi tworzenia. Siłą rzeczy musiał dbać nie o to, co robi, lecz o to, ile będzie znaczył. Nastąpiło to w nim w okresie, kiedy – naprawdę mówiąc – talent jego wymagał wiele wysilenia, by się pozbyć swych niedomóg, a wzmocnić swoje zalety.

O niedomogach więc tych i o zaletach:

Nie był stylistą najwyższej klasy, jego artykuły zachowywały charakter referatów, niejako bojących się efektywności, ale rozporządzał językiem bezbłędnym i miał dar jasnego a dokładnego wypowiedzenia myśli. W okresie szczerego czy sztucznego poetyzowania (niemal nawet w ogłoszeniach handlowych) należał do tej zdrowej mniejszości, która unikała kwiecistości i dętych metafor. Talent Lorentowicza pozostawał w zgodzie z jego upodobaniami: nie wiodły go na manowce fałszywe apetyty, chciał być li tylko krytykiem i miał zdolności wyłącznie krytyczne, dopiero pod koniec życia spróbował sił w dziedzinie pamiętnikarskiej, kreśląc – i to z dużym sukcesem – tom pt. : „Spojrzenie wstecz”.

Jak rzadko kto inny umiał być lapidarnym. W 150-200 wierszach druku potrafił wyczerpać temat. Bibliografia notuje kilka jego książek, jak „Młoda Francja literacka”, „Młoda Polska”, cztery tomy krytyk teatralnych – ale wszystko to zbiór poszczególnych krótkich artykułów. Chętnie poświęcał się układaniu antologii, zawsze logicznie dobranych i opatrzonych krótką instruktywną przedmową. Wydał też w trzech tomach dzieła Jana Kochanowskiego i wreszcie jedną większą całość: dzieje literatury polskiej po 1863 roku. Nie zostawił po sobie arcydzieł, ale i nie zostawił żadnego lichego szkicu czy studium. Należał do wyjątkowo starannych, a oświeconych techników pióra. Każdej swojej robocie dawał maksimum swoich możliwości.

To, czego dotkliwie brakowało jego krytycyzmowi – to wrażliwości. Do sądów swoich, wcale zresztą wytrawnych, dochodził przez przepisy estetyczne, przez naukę i opinię wielkich krytyków, zwłaszcza francuskich. Wyjątkowo rzadko zdarzało się, by uczucie podyktowało mu zachwyt czy odpór. Zachwyt rzadko go zresztą nawiedzał. Należał do recenzentów surowych. Nie taka gilotyna, jak swojego czasu Sygietyński, ale w każdym razie niektóre jego sprawozdania miały charakter aktu oskarżenia. Ostre uwagi, niezadowolenie, cierpkość.

Nie tylko miłość do teatru, ale inne względy, nie wyłączając zarobkowych, skierowały go do pracy w teatrze. Zrazu dyrektura szkoły dramatycznej, później dygnitarские stanowisko dyrektora naczelnego

wszystkich teatrów miejskich w Warszawie. Gdy to się okazało zajęciem ponad jego siły, zadowolili się dyrekturą jednej tylko sceny. Nie powiodło mu się i tutaj – i koniec końców widziało się go przy biurku referenta literackiego w podrzędniejszym już teatrze. Musiał i na to się zgodzić, by żyć. A żyć umiał tylko uczciwie.

Decrescendo jego finansowe zeszło się ze zniżką znaczenia w życiu literackim. Eheu! Minęły lata, kiedy pierwszy kongres pisarstwa polskiego (1919) w jego ręce złożył przewodnictwo; minęły czasy, kiedy nie kto inny, lecz on musiał zostać pierwszym prezesem Pen Clubu. Przyszli ludzie nowi, nowe talenty – talenty i silne łokcie ... Lorentowicz nie może już pochwycić pulsu. Coraz mniej czytano to, co pisał. Przestał marszałkować nawet na drobniejszych zebraniach. Zaczął gorzknieć. Żalem napełniali go zwłaszcza ludzie jego obozu, którzy tyle się jego piórem nawysługiwali, a teraz szukają innych adherentów. Przy tym wszystkim zmniejszone dochody, tak że musi się wyzbyć swojej willi na ulicy Filtrowej, nabytej w czasach prosperity, willi, którą się rozkoszował i jako zaciszem, i jako poczuciem własności, kategorii tak cennej dla jego podświadomych instynktów zachowawczych. W udręce niepowodzeń jedyną osłodę znajdował w sukcesach na szerokim świecie swej fanatycznie ukochanej córki-jedynaczki, artystki dekoratorki. Poza tym był to już tylko cień dawnego dygnitarza literatury.

Na rok przed wybuchem wojny Akademia Literatury powołała go do swego grona. Nareszcie się tam znalazł ktoś, kto naszych przedwojennych nieśmiertelnych pouczył, że nie ma wśród literatów jednostki bardziej od Lorentowicza akademickiej (choćby optycznie), że od Lorentowicza dopiero rozpocznie się odpowiedni wygląd tej abstrakcyjnej bądź co bądź instytucji. Widząc szczęście nowo powołanego, zrozumieliśmy wreszcie celowość Akademii Literatury.

Akademia Literatury powołała go do swego grona za zasługi, jakie położył dla piśmiennictwa. Nie były one zdawkowe ani w latach, kiedy hołdował hasłu „sztuka dla sztuki”, ani później, kiedy w sobie tę zasadę przezwyciężył. Ale to, co po sobie zostawił wydatniejszego, na poły do literatury, na poły do teatru należy. Mam tu na myśli jego fundamentalną księgę „Dwadzieścia lat teatru”.

Z teatrem łączy go jednak, jak wiadomo, nie tylko ten zbiór recenzji. Dobrych kilka lat przepracował w teatrze na rozmaitych stanowiskach. Nie będę się tu jego „nieporozumieniem”, jakim była posada kierownika literackiego w efemerycznej imprezie teatralnej – nie czyjej – na ulicy Karowej w gmachu po panoramie, bo to, pożałuj Boże, kierownictwo jego literackie trwało chyba kilka tygodni, nie dłużej – natomiast czymś już zupełnie poważnym były w warszawskich teatrach miejskich jego dyrekcje: generalna i w Narodowym.

Wbrew zwyczajom i ze szkodą dla siebie rozpoczął od dyrekcji generalnej, obejmującej wszystkie sceny, by później zadowolić się dyrekcją jednego tylko teatru. Gdyby odbył drogę odwrotnie, gdyby rozpoczął od stanowiska mniejszego, a zwłaszcza gdyby przedtem jeszcze popraczył na mniej odpowiedzialnym stanowisku (np. w kierownictwie literackim), to może jako prezes dyrekcji uniknąłby niejednej omyłki.

I jeszcze „gdyby”: gdyby prezesura teatrów miejskich w Warszawie była stanowiskiem czysto reprezentacyjnym na wzór np. intendentury byłych teatrów cesarskich w Wiedniu czy w Petersburgu, to trudno by było na to stanowisko znaleźć bardziej niż Lorentowicz odpowiedniego kandydata. Jego powaga, można by nawet powiedzieć: jego dostojność, jego władcze usposobienie, jego ogłada i znajomość świata, jego inteligencja i wykształcenie zapewniałyby mu jak największe powodzenie. – Generalna dyrekcja, a tym bardziej potem dyrekcja szczegółowa w Teatrze Narodowym skazywały go na bezpośrednie stykanie się z rzeczywistością powszedniego dnia teatralnego, z rzeczywistością niemal w każdym szczególe sprzeczną z jego indywidualnością.

Kto wie? Może by doszedł do porozumienia z dzisiejszymi aktorami, doprowadzonymi do należytego wykształcenia ogólnego. Wówczas ten klasyczny intelektualista nie bardzo znosił współzycie z aktorami, nieraz bardzo utalentowanymi, ale ... nie erudytami. Jego pracowitość cierpiała na nygusostwie jednych, na wygodnictwie innych „synów Melpomeny”. Jego poczucie ładu i porządku obrażała cyganeryjność ich życia, a ich kabotyneria zamiast go bawić przyprawiała go o puchnięcie

wątroby. Ani rusz nie mógł się pogodzić z tym, że teatr chaosem stoi, a jego egzystencja polega na codziennym odkładaniu katastrofy do jutra...

Nie ma takiego dyrektora teatru, który by przedwcześnie nie posiwił z powodu aktorskich nerwów, dokuczliwości, megalomanii i awanturnictwa. – „Bestie, istne bestie!” – powtarza sobie po raz setny taki dyrektor, odmierzając kropłomierzem koraminę. Tak, ale jeśli jest on rasowym człowiekiem teatru, to niech mu tylko te „bestie” zagrają znakomicie choćby jeden jakiś fragment sztuki, a zapomni im wszystkie doznane od nich krzywdy. Lorentowicza żadna kreacja aktorska nie wprowadziła w stan zachwyty, więc wady aktorskie nie znalazły w nim ułaskawienia. To go prowadziło do poważnych omyłek.

Popełniał omyłki, ale i niejedną zasługą zapisał się w życiu teatru. Mam tu na myśli przede wszystkim sprawę „Reduty”.

Wiemy, czym była „reduta”, znamy jej historyczne zasługi. Idea stworzenia sceny w typie „Reduty” wyszła niewątpliwie z głowy Osterwy (jeżeli nie była wspólnym pomysłem Osterwy i Lorentowicza) – do realizacji jednak nie doszłoby wówczas, gdyby nie dyrekcyjna aprobata Lorentowicza, a zwłaszcza jego rzetelne pragnienie, by taki teatr powstał.

Nie pamiętam, czy to za jego dyrekcji, czy później to się stało, ale właśnie Lorentowicz na warszawskim gruncie odkrywa talent Jerzego Szaniawskiego. (...)

Gdy Lorentowicz poznał tekst następnej komedii Szaniawskiego, natychmiast zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z niezwykle talentem i z zupełnie nową na naszym gruncie organizacją artystyczną. I natychmiast zwrócił na Szaniawskiego uwagę Osterwie, jako kierownikowi „Reduty”. Osterwa rozentuzjzmował się - i tak się poczęła zasłużona popularność komediopisarza, największego w międzywojennym polskim dwudziestoleciu.

Dziś, z perspektywy czasu na rzecz patrząc, nie sposób nie stwierdzić, że jeżeli idzie o Lorentowiczowską dyрекcję generalną warszawskich teatrów miejskich, to była ona w swojej wadze artystycznej ani lepsza, ani gorsza od dyrekcji poprzednich i następnych. Niezależnie od przydatności poszczególnych dyrektorów każda z nich skazana była na fiasko. Czy prezydium miasta powołało na to stanowisko człowieka teatru (Rostkowski), czy historyka (Artur Śliwiński), czy literata (Lorentowicz), czy inżyniera (Kühn) – wynik zawsze jednakowy. Każdego z nich zjadał przede wszystkim fakt, że teatry reprezentacyjne muszą być instytucją deficytową, a P.T. Rada st. M. Warszawy pogodzić się z tym nie umiała. Co się tyczy Teatru Narodowego, jako składowej części teatrów miejskich, to chyba tylko dyrekcja Osterwy wydatniej się potrafiła zapisać, zarówno przez narodowo ambitny nacisk położony na repertuar wyłącznie polski, jak i przez takie pod względem reżyserskim wysokiej klasy spektakle, jak „Obiad czwartkowy” czy „Przepióreczka”. Ale w „klimacie” teatrów miejskich nawet i Osterwa nie potrafił dłużej popasać – zwinął manatki i odszedł. Naśladował w tym Lorentowicza.

W roku 1918 powołano Lorentowicza do zorganizowania szkoły dramatycznej. Zdaje się, że zdołał opracować tylko program nauczania tej uczelni. Rozstał się z wszystkimi swoimi planami, bo znęciła go pozycja, władza, no i gaża na stanowisku naczelnego dyrektora teatrów miejskich, które mu zaoferowano. A szkoda! Program, jaki opracował, odznaczał się rozumnym widzeniem zadań szkoły i poszanowaniem możliwości, czyli unikaniem utopii. Na stanowisku dyrektora szkoły dramatycznej nie zaznałby tych trudności, które mu uniemożliwiały działanie w teatrze – uczniowie szkoły teatralnej, to jeszcze nie aktorzy, radę dać sobie z nimi można, a erudycja i kultura Lorentowicza na pewno by się dobrze tej instytucji przysłużyły.

Scripta manent ... Przeminięło, odeszło w niepamięć wszystko to, co zdziałał w teatrze – zostało, utrwaliło się to, co o teatrze napisał. Pozostały do dziś dnia świeże „Dwadzieścia lat teatru”. Książka ta powinna być stałą lekturą naszych aktorów, reżyserów i wszystkich miłośników teatru, a nawet wszystkich tych, którzy lubią czytać to, co dobrze po polsku było napisane.

Przystępując do czytania „Dwudziestu lat teatru” należy pamiętać, że dzieło to Lorentowicza, a więc człowieka bardzo powściągliwego w pochwałach. Gdy powie, że dany aktor rolę swoją grał znośnie, to znaczyło, że grał ją aktor najzupełniej dobrze. Tekst Lorentowicza należy niejako podgrzać – i dopiero tak ocieplony spożywać. Wówczas okaże się, jak pożywna to sprawa.

Nie znajdziesz tu ni cienia popisu stylistycznego, przeglądania się w zwierciadle swoich słów. Językiem prostym, trzeźwo, myślą jasną i zdecydowaną skreślono tu wrażenie z przedstawień teatralnych. Przedstawienia te nie stają autorowi li tylko pretekstem do rozważań zgoła niespodziewanych, recenzja Lorentowicza trzyma się ściśle tematu, jaki mu narzuca autor omawianej sztuki i jej sceniczne wykonanie. Rzeczowość podparta wysoką kulturą artystyczną.

Kultura artystyczna, rozum, trzeźwość sądów, pracowitość, osobista wartość charakteru, nienaganność postępów Lorentowicza – o wszystkim tym była już mowa. Nie było dotychczas sposobności powiedzieć o jego patriotyzmie. Nikt nigdy nie wątpił o jego miłości ojczyzny, ale dopiero w roku 1939 zdał z niej egzamin, i to w aspekcie godnym wzniosłej tragedii.

Skończyły się wrześniowe działania wojenne. Klęska. Rozbicie ojczyzny podziało nań druzgocząco. Wpadł w desperację. Nie wierzył w możliwość odrodzenia się państwowości naszej. „Polsk„ zginęła” – powtarzał. A skoro polska zginęła – to jakież sens żyć nadal? Nie chce leczyć pożerającej go cukrzycy. Nie przyjmuje nikogo. – „Po co mnie mają widzieć zrozpaczonego?” Jakże tu nie ma stanąć przed oczami Sokrates, gdy po wypiciu cykuty zarzucił płaszcz na głowę, by nikt nie widział, że „Sokrates cierpi”. – Z wypitą swoją cykutą Lorentowicz czekał na śmierć. Tak zmęczony czarnymi myślami, w przeraźliwej samotności dokończył cienia swoich dni.

Pozostawił po sobie niekonwencjonalny żal. Był to bowiem człowiek, którego wady li tylko jemu szkodziły, nie uczynił nigdy nic niegodnego, umiał być przyjacielem dla wybranych, a gentelmanem dla wszystkich. (A. Grzymała-Siedlecki)

Hanna Mortkowicz – Olczakowa w „Buncie wspomnień”(1961) pisze również „O Janie Lorentowiczu”.

Po to żeby zrozumieć sens i znaczenie tego mojego ostatniego spotkania z Janem Lorentowiczem, trzeba sobie dokładnie uświadomić jego tło. Listopad 1939 roku. Czas zimny, niespokojny, pełen podmuchów nie sprecyzowanego jeszcze, a już nadciągającego nieszczęścia. Tło zupełnie ciemne.

Nie wiem, czy ta scena, tak mroczna we wspomnieniu, odbywała się istotnie w ciemnościach. Bardzo to możliwe. Po wrześniowym oblężeniu Warszawy światło elektryczne zostało naprawione w śródmieściu dopiero pod koniec października, i to nie wszędzie. A i zreperowana elektryczność często gasła i wtedy zapalaliśmy świece, zwykłe, których było mało, i nagrobkowe, które było łatwiej dostać w okresie Wszystkich Świętych, kiedy place i skwery warszawskie przemieniały się w cmentarze.

Siedzieliśmy przy takich żałobnych chwiejnych płomykach, zziębnięci i niespokojni jak nastroszone ptaki. Trwaliśmy jeszcze w domach, które jeśli nawet nie zostały spalone, były już zachwiane w posadach. Mieliśmy jeszcze własne biurka pełne potrzebnych dokumentów i papierków zbieranych przez lata i nie wiedzieliśmy, że już niedługo odejdziemy od nich na zawsze.

Klęska nie była jeszcze w tym czasie ani ujawniona dostatecznie, ani odpowiednio zorganizowana. Mechanika dnia codziennego, tak zupełnie inna od konstrukcji niedawnych dni pokoju, proces uchylania się od coraz innych trudności i groźących rozporządzeń niemieckich wymagał ciągłych zabiegów, przyziemnych, uciążliwych, często nieudolnych.

W tym czasie odwiedził nas któregoś popołudnia w księgarni na Mazowieckiej Jan Lorentowicz.

Przyszedł w interesie, w sprawie wedle jego zdania nie cierpiącej zwłoki. Była to kwestia zabezpieczenia spuścizny rękopiśmiennej naukowej po autorze „Księgi przysłów polskich”, Samuela Adalberga. Uczony ten, w okresie przedwojennym skromny urzędnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gromadził przez całe lata przyczynki i uzupełnienia do drugiego wydania swego epokowego dzieła o przysłowiach. Był to zresztą dawny znajomy moich rodziców z czasów ich młodości. Potem stosunki nasze urwały się. Toteż ze zdziwieniem powitałam w księgarni w pierwszych dniach października 1939, bodajże nazajutrz po zawieszeniu broni i ustaniu bombardowania, jakiegoś młodzieńca, który przybiegł do nas jako wysłannik Adalberga z wiadomością, że żyje, z powitaniem, z zapytaniem o nasze zdrowie. Mimo tego radosnego stwierdzenia i tej przyjaznej potrzeby kontaktu – sam Adalberg żył już potem niedługo. Zbyt dobrze uświadomił sobie rozmiar nowej klęski, która nadeszła wraz z okupacją, i w przypływie rozpacz skoczył z piątego pietra, kończąc tym samobójczym aktem ciche i pracowite życie uczonego szperacza.

Lorentowicza łączyły z Adalbergiem dawne koleżeńskie stosunki z czasów młodości, jakieś wesołe paryskie wspominki i figle, które opisał zresztą w swoim „Spojrzeniu wstecz”. To, jak również wizyta siostrzeńca Adalberga i opiekuna pozostałych po nim papierów, Witolda Lipskiego, skłoniło go do bezpośredniego czynnego wystąpienia w sprawie ochrony jego spuścizny. Przy okazji mówił w ogóle o sprawie zabezpieczenia dóbr kulturalnych zagrożonych wojennym zniszczeniem. Mówił także o dokumentacji ludzkich krzywd, w pierwszym rzędzie haniebną żydowską dyskryminacją, nieszczęścia, przed którym cichy, nieśmiały Adalberg zawczasu uciekł w śmierć.

Sam Lorentowicz jako niepoprawny zbieracz przyczynków, wycinków, rozmaitych źródeł zaczął już gromadzić dokumenty rozpoczynających się czasów pogardy: rozporządzenia, odezwy, ulotki, świstki, które tworzyły historię. Jak je zabezpieczyć na lepsze czasy, do chwili wyzwolenia, o której nie wątpił, że nadejdzie? Trzeba było również już teraz, na gorąco, pisać życiorysy ludzi poległych, zamordowanych, zgładzonych, aby pozostały jako świadectwo na przyszłość. Chciał zacząć od Adalberga, wyliczył jeszcze kilka nazwisk ...

Po to właśnie przyszedł, nad tym chciał się naradzić, zastanowić wspólnie. Była to konieczna praca dla dobra polskiej kultury, wiedzy o jej rozwoju.

Lorentowicz, zazwyczaj chłodny i wyniosły, znany ze swego celebrowanego dostojęstwa, ośmieszonego przez niechętnych, mówił o tym wszystkim z taką żarliwością i siłą przekonania, że zaraził nas swym nastrojem. Przechyleni ku sobie poprzez biurko, cicho zwierzałyśmy swoje projekty i plany, rzucane w niewiadome, bo wszystko było niepewne i nikt z nas nie wiedział, co jest bezpieczne, a co szkodliwe, z której strony czyha klęska, w której chwili przyjdzie katastrofa i zagłada.

I znowu trzeba sobie przypomnieć to ciemne tło wojennego wieczoru i niepewny migot zapalonego płomyka świecy, żeby zobaczyć gest Lorentowicza i malarski obraz jego jasnej twarzy i blond siwiejącej już brody, a także mieniącą się połyskliwie czarność fokowej czapki i kołnierza. Ta cała aksamitna i złocista, vandyckowska wielkopańskość profilu i barwy nie była jeszcze dotknięta żadnym śladem nędzy i zaniedbania, niczym nie poniżona przez klęskę wojny.

Jak to Lorentowicz robił? Wiadomo było, że oprócz wielkiej i cennej biblioteki, bogactwa książek opatrzonych dedykacjami wielu autorów, o których pisał w licznych esejach, nie dorobił się w swoim długim życiu żadnego majątku, że owe prezesowania, dyrektorowania, reprezentowania, sędziowania, jakimi się trudził, nie przyniosły mu emerytury ani innego zabezpieczenia. Nie był członkiem żadnej redakcji ani instytucji, pisywał dorywczo artykuły i właściwie już i przed wybuchem wojny groził mu niedostatek. Teraz miał przeszło siedemdziesiąt lat, był samotny, a jedyna ukochana córka przebywała za granicą.

Nas, kobiety, absorbowwały w tym czasie doraźne troski, kłopotliwe zabiegi o sprawy bytu, o węgiel, o wybite szyby, o chleb i słoninę. Była to przecież pierwsza nadchodząca zima wojny w okrutnie odmienionych warunkach istnienia. Pytałyśmy o te sprawy Lorentowicza z życzliwą troską.

Uprzejmie uchylał nasze pytania. Owszem. Mieszkał sam. Nie, nie miał pomocy... Co? Służąca? No tak ... Trudność sprawiało mu czyszczenie butów, lubił, żeby błyszczały jak lustro, a trudno się było schyla

z powodu serca. Szyby? No tak, szyby były wybite i latał je nieudolnie byle czym.

Mówił o tych wszystkich biedach lekceważąco, lekko, pobieżnie, potem zboczył znowu w stronę tematu, który go bardziej interesował i wyraźnie podniecał. Zaczął opowiadać o swojej bibliotece. Podczas wrześniowego bombardowania bał się, żeby nie spłonęła ani nie została zniszczona przez pociski. Ale znalazł w tej samej kamienicy na Żurawiej, gdzie mieszkał, jakichś wspaniałych chłopców, ofiarnych studentów, którzy pozosili mu wszystkie tomy do piwnicy. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo zbombardowania i pożaru minęło, rozpoczęli już wszystko dźwigać, na górę. Rzeczywiście byli nadzwyczajni. Tylko te wybite okna ... Wilgoć i ziąb szkodziły papierowi, paczyły się kosztowne oprawy.

O tym, co szkodziło jemu osobiście, znowu zamilczał. Wspomnił tylko mimochodem, że pracuje nad drugim tomem „Spojrzenia wstecz”. Zacytował także zdanie jakiegoś greckiego filozofa – niezmiernie aktualne dla stosunków ówczesnych. Właśnie czytał teraz filozofów greckich i historię świata antycznego. To krzepiło i stwarzało jak najwspanialsze perspektywy dla porównań i wniosków na przyszłość.

Otoczające nas ściany księgarni były już świadkami wielu rozmów na najbardziej wyszukane tematy intelektualne i artystyczne, dyskusji, które świadomie omijały codzienność, celując w świat nadrzędnych spraw polskiej kultury. Ale teraz przecież w domach najbardziej wyrafinowanych i ekskluzywnych twórców mówiło się głównie o węglu i o słońnie.

Skłopotana i zawstydzona słuchałam ze zdziwieniem słów człowieka starego, samotnego i zmęczonego już chyba mimo pozorów wytwornej elegancji, który nie zmienił w chwili grozy i biedy swego nonszalanckiego, wyniosłego stosunku do prozaicznych spraw życia ani nie zdradził swych najistotniejszych zamiłowań i zainteresowań.

Tylokrotnie pomawiano go złośliwie i stronniczo o powierzchowność, o snobizm, pięknoduchostwo, koturnowość, eklektyzm, dogmatyzm. Ilek złośliwości i satyrycznych ataków wywoływała jego blond broda, wykwinnta elegancja „cylindrowca” i dostojęństwo, z jakim kroczył przez ulice Warszawy. „Procesja w jednej osobie”, „Filister doskonały”, „Patriarchalny augur”.

Stanowisko dyrektora Teatrów Miejskich, prezesura nieruchawego Penklubu, działalność w Związku Autorów Dramatycznych zwanym pogardliwie ZAD-em, w Towarzystwie Literatów i dziennikarzy, wszystko w sumie, co robił Lorentowicz, było wielokrotnie ośmieszane i zwalczane przez młodszych krytyków i satyryków warszawskich.

Słonimski atakował lenistwo myślowe starszego pana, zapominając o wieloletniej działalności krytyka postępowo-liberalnej „Nowej Gazety”, o setkach recenzji teatralnych, które urosły w tomy pod tytułem „Dwadzieścia lat teatru”, o licznych tłumaczeniach, o przykrościach związanych z kierownictwem teatrów bez dotacji rządowych, przy ubóstwie miasta i obojętności rajców i ławników dla spraw kultury.

Eiger-Napierski zgłaszał napastliwe protesty przeciw dogmatowi o rzekomej nieomyślności Lorentowicza, przeciw jego liberalizmowi mieszczańskiemu i brakowi poczucia hierarchii w opisach pełnych frazesów.

Wszystkie te zarzuty i stwierdzenia wrogów starły się w tej chwili z odmienioną rzeczywistością świata. Runęły w gruz domy i posady, zaszczyty i tytuły, odmienili się ludzie nawiedzeni przez demoralizujące uczucie strachu lub gorączkę szaleńczej odwagi. Doszły do głosu instynkty, okazujące ludzką naturę w całej bezwzględnej i brutalnej jawności.

Jan Lorentowicz w tym nowym układzie warunków pozostał może naprawdę skostniały i koturnowy, może istotnie czuł się po dawnemu dyktatorem najlepszego stylu i dobrego smaku nawet w domu zrujnowanym przez bomby, nawet zagrożony przez śmierć.

„Podstarzały salonowiec”, jak go niegdyś nazwano szydlerczo? Jego wspaniała, wytworna aparycja wydawała się nam obrazem zwycięstwa piękna i harmonii nad szpetnym rozkładem, jaki nawiedził miasto i jego mieszkańców.

„Liberalizujący mieszczanin”? Być może. Zawsze niezmiennie przyznawał się do liberalizmu, przez lata całe był filarem pisma postępowej demokracji, podkreślał lewicowe tradycje swej działalności literackiej i ta postawa – może nie dość rewolucyjna – obowiązywała i w okresie przedwojennym, i w chwili niebezpieczeństwa, kiedy żądał świadectwa zbrodni popełnianych przez faszyzm na niewinnych i chciał zbierać dokumenty oskarżenia dla przyszłego procesu, na którym chciał być świadkiem.

„Głosiciel wyświechtanych frazesów”? Eklektyk uważający siebie za wcielony monopol kultury? Powtarzam tu znowu epitety rzucone w ogniu dawnych sporów na łamach „Wiadomości Literackich”. Bez tej kultury nie umiał żyć. Może mówił słowa banalne, bo straciły już sens w zbyt częstym użyciu, a odzyskały go, dopiero w decydujących dniach wojny, które przywracały pierwotne znaczenie wszelkim przenośniom. Może właśnie jego eklektyzm powiązał go na życie i śmierć z arcydziełami myśli i sztuki ludzkiej, uzależnił jego własne istnienie od trwania wielkiej literatury minionych epok i głoszonych przez nią haseł ideowych.

Wierzył w wartość tej literatury, mówił o niej z przejęciem godnym podziwu. Wsparł się ręką o stół, błyszczał złotem brody, aksamitną czernią futra na tle ciemnej wojennej nocy. Z pogardliwą wyższością, ze świadomą nonszalancją odwracał się od dokuczliwych drobiazgów egzystencji, od ludzkiej małości i nikczemnych zbrodni do wielkich prawd filozofii i historii.

Pomawiano go w polemikach przed niewielu laty i o to, że nie odczuwa hierarchii wartości. Może jej istotnie nie odczuł w nowym układzie zjawisk, wierny zasadom, które już straciły praktyczny, celowy sens. Może tak się już odwracał tym swoim rzeźbionym, wydatnym i charakterystycznym profilem, podobny do wielmoży z czasów Van Dycka, od codzienności do wieczności?

Jeszcze wierzył, że ma rację. Następne miesiące okazały, że niezupełnie. Dziurawy dach, brak węgla i wybite szyby okazały się groźne nie tylko dla ksiąg w bibliotece. Zemściło się lekceważenie realiów życia na wyniosłym właścicielu tego księgozbioru.

Jan Lorentowicz zmarł w grudniu 1939 roku, a więc w krótkim czasie po swojej wizycie w księgarni Mazowieckiej, nabawiwszy się zapalenia płuc w swym zrujnowanym i nieopalanym mieszkaniu.

Edward Kozikowski w książce „Od Prusa do Gojawiczyńskiej”, 1969 opisuje Jana Lorentowicza jako warszawskiego celebrytę.

Była to jedna z popularniejszych postaci Warszawy. Nie w takim znaczeniu, jak Korwin-Piotrowski, ekstrawagancki brat Zapolskiej, czy Bazewicz, przypisujący sobie wielką znajomość geografii, a w gruncie rzeczy ignorant w tej materii, słynny ze swego petersburskiego płaszcza, oczekujący w stronę każdej przechodzącej obok niego pensjonarki. To były postacie zabawne, budzące wesołość wśród przechodniów, upamiętniane piórkiem karykaturzysty na łamach „Kolców”, „Kuriera Świątecznego”, „Muchy” czy „Szczutka”.

Lorentowicz był całkiem z innej gliny. Przebijały z jego postaci dostojeństwo i powaga, której zresztą przydawał sobie, zwłaszcza gdy wdawał się w debatę z młodszym od siebie dyskutantem lub wypadało mu kierować przebiegiem jakichś obrad czy konferencji. To nie była tzw. chodząca powaga, której przesadność mieści się bez reszty w samym określeniu. To był człowiek, z którym

powaga zrosła się w sposób naturalny, człowiek cieszący się uznaniem i szacunkiem, a nieraz uważany za autorytet w sprawach literackich czy teatralnych.

Odznaczał się dość wysokim wzrostem. Był ładnie zbudowany, o mocno sklepionych ramionach i wydatnej klatce piersiowej. Głowę pokrywała gęsta, falująca ciemnoblonde czupryna, zaczesana zawsze starannie w tył głowy. Dolną część twarzy osłaniała niewielkich rozmiarów broda, łącząca się dyskretnie po bokach z opadającymi w dół wąsami.

Głowę nakrywał, stosownie do panującej mody, cylindrem. Chodził zazwyczaj ulicami z założonymi w tył rękoma, trzymając w nich laskę, nieskazitelnie czarną, prawdopodobnie z hebanu, o srebrnej rączce.

Oczy, o barwie błękitnej, przybierające czasem odcień morskiej zieleni, miały wyraz łagodny i spokojny, tylko wzniesione lekko łuki brwi nadawały twarzy piętno bardziej surowe. Nosił się nadzwyczaj starannie, z widoczną, ale nie przesadną dbałością o wygląd zewnętrzny.

W latach 1920-1921 widywałem się z nim często, kilka razy w tygodniu, i za każdym razem podziwiałem jego pięknie oczyszczone i pedantycznie doprowadzone do blasku trzewiki. Zapytywany podobno przez Janinę Mortkowiczową, jak to się dzieje, że obuwie jego zawsze odznacza się niespotykanym wręcz połyskiem, miał odpowiedzieć: - Bo sam czyszczę je dzień w dzień, tak samo jak moją laskę.

Dostojny wygląd, spokój i opanowanie, malujące się na twarzy, czyniło go jedną z bardziej znanych osobistości stolicy, gdy osiadł w niej na stałe po kilkunastoletnim pobycie w Paryżu.

Opowiadał mi Strug, że czasie swojej bytności w stolicy Francji, stykał się niejednokrotnie z Lorentowiczem, który nosił się tam podobnie, jak później w Warszawie. Pewnego wieczoru, gdy wracał z Miriamem z jakiejś wycieczki podmiejskiej, zaprosił go do siebie na herbatę. Gdy wchodzili na schody, konsjerżka zaczęła Strugę informując, że zaglądał do jego mieszkania, a szedłszy na dół, dopytywał się o niego jakiś wysoki, z powagą noszący się osobnik. Zaciekawiony Strug zaczął stawiać konsjerżce pytania, starając dowiedzieć się czegoś bliższego o wizytującym go osobniku, ale nic z tej szczegółowej indagacji nie można było wynieść. Dopiero Miriam, który był z zawodu prawnikiem, rzucił pytanie, jakie przypuszczałnie mogło być „metier” tego gościa. Konsjerżka po pewnym namyśle odpowiedziała: - Chyba komornik! - Obaj wybuchnęli śmiechem i obaj wyszeptali zgodnie, jakby to było umówione, a przynajmniej wyreżyserowane: - Lorentowicz! - Nie omylili się. Owego dnia istotnie był z wizytą Lorentowicz, który chodził zawsze z teczką pod pachą, i teczka ta właśnie, obok zrównoważonego wyglądu nadawała mu piętno jakiejś osoby urzędowej. (...)

Jan Lorentowicz urodził się 14 marca 1868 roku w Pabianicach. Naukę w zakresie szkoły średniej pobierał w Częstochowie, a maturę zdał w Płocku. W latach 1890-1903 przebywał stale w Paryżu, studiując w Sorbonie. Tu zaczął też ogłaszać swoje pierwsze prace literackie i publicystyczne. Ukazywały się one na łamach „Pobudki”, emigracyjnego czasopisma o zabarwieniu narodowo-socjalistycznym, wychodzącego pod jego redakcją w latach 1891-1893.

Pierwszym redaktorem „Pobudki” był emigracyjny działacz polityczny, student medycyny Stanisław Barański. Dość szybko wszakże, bo w trzydziestym drugim roku życia, zmarł i redakcję „Pobudki” objął Lorentowicz. Oto co pisze on na ten temat w swoim wspomnieniu pt. „Narodziny programu”, ogłoszonym w książce „Spojrzenie wstecz” w 1935 roku.

„Po śmierci Barańskiego prowadziłem redakcję „Pobudki” przez dwa lata. Warunki finansowe mieliśmy nie mniej ciężkie, chociaż przybyło nam w gminie nieco ważnych zwolenników. Ale ci, którzy kończyli studia w Paryżu, rozpraszali się po całej Francji i kontakt z nimi był już trudniejszy. Nasze hasło niepodległości poruszyło polskie sfery rewolucyjne, a londyński „Proletariat” Mendelsoń, który nas zrazu zwalczał, jako „socjal-patriotów”, zaczął później zastanawiać się w swym gronie redakcyjnym nad naszymi hasłami. Wiosną 1892 roku przyjechali do mnie z Londynu, z ramienia proletariackiej grupy: najpierw Dębski, a potem Mendelson i W. Jodko. Proponowali mi

połączenie naszych usiłowań. Z rozmowy z nimi wywnioskowałem, że podejrzewają, iż nasza gmina posiada znaczne zasoby pieniężne. Ani im na myśl, oczywiście, nie przyszło, że właśnie poprzedniego dnia sprzedać musiałem ... nowiutkie ubranie, którego się dorobiłem, aby móc wykupić numer „Pobudki” z drukarni; potrzeba było dla tego zabiegu ... 30 franków! Goście londyńscy oznajmili mi, iż urządzają w Paryżu ogólny zjazd socjalistów polskich, i zaprosili mnie na ten zjazd. Oświadczyli, że zjazd odbywać się będzie pod hasłem niepodległości, więc udział chętnie przyrzekłem. Na zjeździe zatryumfowała całkowicie idea niepodległości w formie propagowanej przez „Pobudkę”. Wybrano mnie jako delegata Gminy Narodowo-Socjalistycznej do pierwszej Centralizacji PPS. Krwawy trud Barańskiego wydał owoce w dwa lata po jego zgonie”.

Poza artykułami w „Pobudce” Lorentowicz publikował eseje o literaturze i teatrze w czasopismach francuskich: „Critique Independante”, „Mercure de France”, „La Revue d’Art. Dramatique”.

W roku 1903 zdecydował się na powrót do kraju, z pewnymi uzasadnionymi zresztą obawami, ze względu na swoje „grzechy” paryskie. Wprawdzie przyjaciele polityczni przestrzegali go, że w najgorszym razie grozi mu nawet zesłanie na pewien czas do mniej lub bardziej odległych guberni cesarstwa rosyjskiego, ale nostalgia była silniejsza ponad wszystko i ona odegrała tu rolę decydującą. Tymczasem przewidywania, na szczęście, nie okazały się trafne, nic godnego uwagi po przyjeździe do Warszawy nie zaszło. W ostatnim okresie pobytu w Paryżu Lorentowicz zajmował się wyłącznie literaturą i można było, jak się okazało, liczyć na przedawnienie jego grzechów paryskich. Obciążono go jedynie po przekroczeniu granicy obowiązkiem uiszczenia kwoty 650 rubli tytułem opłaty i kary za nieodnowienie paszportu.

W Warszawie najpierw zajmował stanowisko sekretarza redakcji „Kuriera Codziennego”. Później został kierownikiem działu literackiego dziennika „Nowa Gazeta”, wychodzącego pod redakcją znakomitego ekonomisty, Stanisława A. Kempnera, i będącego organem tzw. postępowej demokracji. Jego eseje ogłaszane w dodatku niedzielnym „Nowej Gazety”, noszącym tytuł „Literatura i sztuka”, oraz opinie o ukazujących się książkach miały charakter zdecydowanie autorytatywny. (...)

Z Lorentowiczem zetknąłem się po raz pierwszy chyba w sierpniu 1920 roku. W wyniku przeprowadzonej mobilizacji wcielono mnie do wojska, a z wojska odkomenderowano do Centralnego Komitetu Propagandy Związków Artystycznych. Była to instytucja powołana do życia przez ówczesnego ministra spraw wojskowych, bodaj w lipcu owego pamiętnego roku. Zmobilizowano do niej członków wszystkich związków artystycznych, więc – literatów, muzyków, plastyków, aktorów, ba, nawet organistów. (...) Przewodnictwo sekcji literackiej spoczywało de nomine w rękach Stefana Krzywoszewskiego, redaktora „Świata”, a zastępcą jego i faktycznym przewodniczącym był Jan Lorentowicz.(...) Będąc sekretarzem wspomnianej sekcji literackiej, stykałem się z Lorentowiczem niemal dzień w dzień i miałem okazję podziwiać w czasie najbardziej gorączkowym jego talenty organizacyjne, umiejętność konsolidowania pracy z innymi sekcjami i życzliwy, pełen ciepła stosunek do najbliższych współpracowników.

Czas był wyjątkowo niewdzięczny do pracy. Chaos panujący na wszystkich prawie szczeblach drabiny państwowej udzielał się każdej instytucji i zarażał każdego niemal obywatela. Trzeba było dużej odporności wewnętrznej i zdolności przeciwstawienia się naciskowi idącemu z zewnątrz, aby nie ulec panice i nie opuścić rąk bezradnie. Tą odpornością, i to dość wyjątkowa, odznaczał się właśnie Lorentowicz, który w dniach najbardziej niespokojnych, gdy ludzie, podnieceni, szczególnie łatwo podatni zbiorowej psychozie, ulegali jej na każdym kroku, potrafił zachować spokój i opanowaniem swoim świecić przykładem innym. Uczucie bojaźni było mu najzupełniej obce, nie miało dostępu do niego i – jak sobie przypominam – dzięki takiej postawie wszyscy garnęli się do niego i, obcując z nim, nabierali otuchy.

Gdy skończyła się wojna i podpisano traktat pokojowy w Rydze, zarządzono demobilizację roczników powołanych do wojska w okresie letnim. Odchodziliśmy od swoich warsztatów pracy, mile wspominając wielomiesięczne obcowanie ze sobą w CKPZA. Lorentowicz był wyraźnie wzruszony i, rozstając się z nami, napomknął od niechcienia, że pewno się jeszcze spotkamy. Puściłem to mimo uszu, ale jakież było moje zdziwienie, gdy w kilka dni potem otrzymałem pismo, aby odwiedzić go w

siedzibie dyrekcji teatrów miejskich w Warszawie, gdzie piastował stanowisko dyrektora.

W oznaczonym dniu zgłosiłem się do Lorentowicza. Poinformował mnie, że w Ministerstwie Spraw Wojskowych przedstawił projekt opracowania i wydania dzieła zbiorowego, obrazującego walki o Warszawę od czasów najdawniejszych aż po rok 1920. Ministerstwo odniosło się pozytywnie do tego pomysłu, oświadczając, że gotowe jest pokryć wszelkie koszty, związane z opracowaniem i wydaniem dzieła. Na razie trzeba więc wyłonić komitet redakcyjny i powierzyć mu przygotowanie planu i wytypowanie autorów poszczególnych działów. Przerzuciliśmy listę członków sekcji literackiej CKPZA i wyłowiliśmy następujące nazwiska: Włodzimierz Dzwonkowski, Leon Kozłowski, Ludwik Kulczycki, Jan Lorentowicz, Andrzej Strug. Wymieniam je i tym razem z pamięci, gdyż żadnych notatek nie posiadam. Mogłem więc przeoczyć czyjeś nazwisko. Jedno miejsce w Komitecie zostało zarezerwowane dla delegata Związku Literatów.

Gdy rozstawałem się z Lorentowiczem, rzekłem na pożegnanie:

- Życzę pomyślnych obrad i jeszcze pomyślniejszych wyników ...

- Jak to? – zdziwił się. – Przecież i pan jest przewidziany w tym Komitecie.

- Nie mówiliśmy wcale o tym, ale nie w tym rzecz. Nie zajmowałem się zawodowo historią, nie wiem przeto, czy moja obecność będzie potrzebna...

- Tyle czasu pracowaliśmy razem i nie wyobrażam sobie, aby mogło być inaczej. Nie może pana brakować wśród nas.

- No – odrzekłem – jest trochę przesady w tym ... Ale ... skoro obcuje pan przy swojej koncepcji, nie pozostaje mi nic innego jak wyrazić zgodę.

I tak oto znalazłem się w Komitecie, którego zadaniem, było ustalenie koncepcji planowanego dzieła i przekonsultowanie, komu powierzyć opracowanie działów. Z ramienia Ministerstwa Spraw Wojskowych bywał na naszych posiedzeniach pisarz Podhala, Feliks Gwiżdż, który – jeśli się nie mylę – był wtedy w randze kapitana. Związek Literatów reprezentowała Zofia Nałkowska. Komitet odbył ogółem dziesięć czy jedenaście posiedzeń i zaprzestał dalszej działalności, gdy okazało się, że komisja sejmowa skreśliła z budżetu ministerstwa pozycję obejmującą wydanie tej książki. W ten sposób pomysłowa inicjatywa Lorentowicza została utracona i zaprzepaszczona, i nigdy już jej nie podjęto.

Od tej pory kontakty moje z Lorentowiczem uległy ograniczeniu. Widywaliśmy się rzadziej, przeważnie w teatrach na premierach, a od czasu do czasu na zebraniach w Związku Literatów albo na zjazdach.

Nastał taki czas, że osobę Lorentowicza zaczęto atakować w sposób całkiem bezceremonialny za jego krytyczne stanowisko wobec różnych zjawisk i wydarzeń literackich, jakie zachodziły w tym czasie. Czynili to niektórzy pisarze spod znaku „Skamandra”, inspirował je często Kaden-Bandrowski, że wymienię jego nazwisko. Nie wiem, czy dla Lorentowicza tego rodzaju wystąpienia stanowiły jakieś przeżycie, gdyż nigdy o tych sprawach ze mną nie mówił, ale zauważyłem, że coraz częściej pojawiać się zaczął na jego ustach uśmiech pełen ironii i wyraźnego sarkazmu.

Popularność Lorentowicza nie osłabła wszakże i autorytet jego w niczym nie uległ pomniejszeniu. Na zjazdach organizowanych przez Związek Literatów delegaci bardzo liczyli się z jego opinią w różnych sprawach i często solidaryzowali się z zajęciem przez niego stanowiskiem w takich czy innych zagadnieniach. Miało to miejsce w latach 1922-1925, kiedy wiele czasu w debatach zajmowała sprawa zjednoczenia organizacyjnego wszystkich związków literatów funkcjonujących na terenie kraju. (...)

Wreszcie w roku 1938 został powołany na członka Polskiej Akademii Literatury, jako jeden z

ostatnich jej członków. Na uroczystości przyjęcia do Akademii, które odbyło się w dniu 10 czerwca 1938 roku, wygłosił prelekcję pt. „Granice krytyki literackiej”.

W liście do córki, Ireny Lorentowiczówny, taką daje relację o tym wydarzeniu:

„W piątek odbyła się w Akademii moja uroczystość. Wypadło wszystko bardzo ładnie. Publiczność była w sukniach wieczorowych i we frakach. Sala wyglądała ładnie. Odczyt (nad którym dużo pracowałem) podobno wypadł dobrze. Wzięły go do druku „Wiadomości Literackie”, więc Ci odpowiedni numer nadeślę. Po odczycie przeszliśmy do sal dolnych, gdzie było wspaniałe przyjęcie z obfitym i kosztownym bufetem, winami etc. Siedzieliśmy do dwunastej (...). Posyłam Ci o tej uroczystości nieco wycinków. Jeden tylko miałem smutek, że nie było mojej córki!... Wciąż mnie o Ciebie pytano i dziwiono się, że Cię nie ma. Doznałem licznych dowodów sympatii, które mnie podniosły nieco na duchu. Za odczyt zapłacili mi 300 zł., co nie odpowiada ilości pracy włożonej, ale zawsze bardzo mi były pożyteczne. Przysłano mi także nieco kwiatów do domu (od Ćwiklińskiej itd.). Amatorów na wydrukowanie mego odczytu było kilku, ale dałem do „Wiadomości Literackich”, bo im przyrzekłem już przed dwoma miesiącami.”

Autor: Sławomir Saładaj